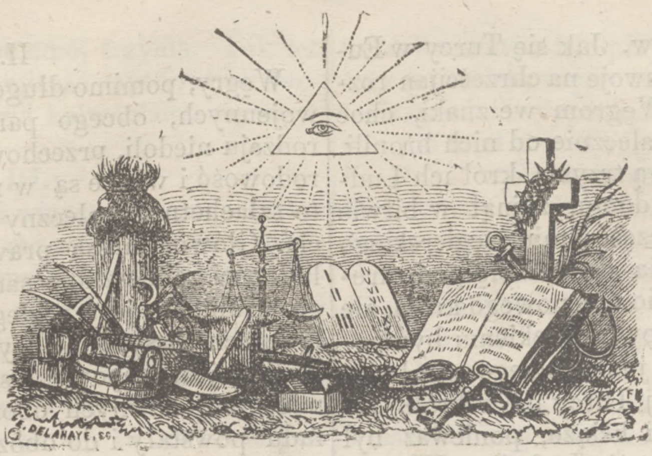
№ 36.
WARSZAWA
d. 27 sierpnia (8 września)
1861.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Pamiętaj, że życie chrześcijańskie to życie obowiązku, bo i Pan rzekł że nie przyszedł pełnić wolę swoję, ale wolę Ojca, a wypełnienie obowiązku, jest zawsze wolą Bożą! — (Z listów niedrukowanych X. K. Antoniewicza).

WĘGRY.

—

I.

Węgry, czyli Madziary, jak oni sami siebie nazywają, byli niegdyś, tysiąc lat temu, koczującym narodem. (*). Przyciągnęli oni do Europy później od wszystkich innych narodów, zapewne z dalekiéj Azyi i zdobyli sobie orężem na Słowianach i Wołochach piękny i obszerny kraj w którym dziś razem i w pomieszaniu z podbitemi plemionami zamieszkują, a który od krajów polskich, mianowicie od Galicyi przedzielony jest Karpackiemi górami. Wiarę chrześciańską przyjęli Węgrzy w niedługim czasie po Polakach, na początku wieku jedenastego po Chrystusie, wtedy kiedy u nas panował król Bolesław Wielki, a u nich król Stefan, który później za świętego uznany został. Korona tego świętego króla uważa się u Węgrów, za największy skarb narodowy i tą koroną wszyscy ich królowie się koronowali; dopóki téj korony nie włożyli, dopóty ich za prawdziwych królów naród nie uznawał.

Przed przyjęciem religii chrześcijańskiéj byli Węgry straszni napastnicy i grabieżce; nikomu dokoła pokoju nie dawali, robiąc wciąż wyprawy na koniach, szczególniéj zaś do Niemiec, gdzie wsie i miasta niszczyli po drodze i ogromną zdobycz zabierali; a nim się mieszkańce zdążyli opatrzyć i zgromadzić do odporu, już chyża i zwinna jazda napastnicza do swojego kraju napowrót umykała. Po przyjęciu chrześcijaństwa Węgry złagodnieli, uspokoili się i we własnym kraju zaczęli się porządkować. Król Stefan mądre im dał prawa. Przez lat pięćset z górą mieli Węgrzy swoich osobnych krolów; niektórych wybierali sobie z polskiego rodu, a mianowicie z królewskiéj

(*) Koczującemi nazywają się te ludy, które nie uprawiają roli, a żyją tylko z chowu bydła; dla odmiany pastwisk muszą się przenosić z okolicy w okolicę, czyli koczować. Ma się rozumieć, że takie życie może być tylko w rozległych krajach małoludnych: jak się ludzi namnoży, muszą się brać do uprawy roli.

naszéj familii Jagiełłów. Jak się Turcy w Eupie pokazali i najazdy swoje na chrześcijan rozpoczęli, dali się też Węgrom we znaki, choć się Węgrzy zawsze walecznie od nich bronili. Jednak lat temu z górą trzysta, król ich Ludwik, z Jagielońskiego domu, zginął w bitwie z Turkami i większa część kraju węgierskiego od wschodu i południa dostała się pod tureckie panowanie. Obrano tam nowego króla, ale ten już musiał sułtanowi tureckiemu być posłusznym, a po nim już drugiego nie było. W téj zaś części któréj Turcy nie zabrali, został królem austryacki książe, ponieważ był szwagrem poległego króla Ludwika. Wszelako przez bardzo długi czas ulegał Turkom kraj węgierski i był polem ciągłych wojen między Turcyą i Austryą; aż wreszcie Austrya powoli przemogła, a zwłaszcza też kiedy jéj król polski Jan III dopomógł i sławnie Turków zwyciężył, przyszła do posiadania całych Węgier. Te zaś choć z pod pogańskiéj władzy wyszły, ale już osobnem królestwem być przestały; zamieniły się one jakby w prowincyę austryackiego państwa i nie bardzo się z tem dobrze miały. Południowo-wschodnia część węgierskiego kraju, zwana Siedmiogrodem, miała przez ten czas, to jest przez ciąg szesnastego i siedemnastego wieku, udzielnych książąt, którzy lubo uznawali nad sobą zwierzchnictwo Turcyi, a czasami i Austryi, jednak korzystając z ciągłéj nieprzyjaźni tych dwóch państw, jako też z górzystego położenia swego kraju, potrafili utrzymywać się w pewnéj niezależności, aż do czasu, kiedy, jak się wyżéj powiedziało, Austrya ostatecznie górę wzięła i całe Węgry z Siedmiogrodem posiadła; chociaż bywały tam groźne przeciwko niéj powstania, to przez Turcyę, to przez Francyę popierane. Z książąt Siedmiogrodzkich najznakomitsza była familia Rakoczych; na cześć jednego z nich, głośnego z bohaterskich walk z Austryą, na początku wieku ośmnastego, ułożony został ów piękny marsz Rakoczego, który jest u Węgrów ulubiony, i u nas go tu węgierscy muzykanci często grywali. Jednego też z Siedmiogrodzkich książąt obrali sobie polacy królem w wieku szesnastym. Był to ów Stefan Batory, dzielny wojownik i mąż wielce uczony. Monarcha ten szczęśliwe wojny prowadził i w Wilnie akademię założył. On też wprowadził do Polski poprawiony kalendarz, którego dotąd używamy.

II.

Węgry, pomimo długowiekowe koleje klęsk wojennych, obcego panowania i wszelkiego rodzaju niedoli, przechowali jednak swoją narodowość i wielce są w niéj zamiłowani. Lud to szlachetny, waleczny i godzien współczucia. Główna massa prawdziwéj madziarskiéj ludności zamieszkuje sam środek węgierskiego kraju, to jest rozległe równiny po obu brzegach Cissy, i między tą rzeką a Dunajem. Kraj to jest stepowy; wsie ogromne, które na miejscach dawnych obozowisk zdobywczego ludu powstały i do obozów też podobne, bo szeroką, prostą ulicą rozdzielone, chaty w równych odległościach stawiane i zupełnie jednostajne, jak namioty. Madziar też pozostał żołnierzem na zdobytéj ziemi; choć dziś roli pilnuje i bydło pasie, postawa jego, wąsy pokrętne i buty z ostrogami widocznie pokazują, że jeszcze pamięta dawne wojownicze czasy. Chociaż w życiu osiadłem potrzeba wygód, a nawet zbytki musiały z czasem przekształcić pierwotną prostotę stepowego ludu, chociaż w miastach węgierskich nie brak wielkich gmachów, pałaców i wystawnych sklepów, choć i we wsiach lepsze budynki i różne porządki się upowszechniły, zawsze jednak znać ślady koczowniczego niegdyś bytu, i największe nawet miasto czysto węgierskie, Debreczyn nad Cissą, składa się najgłówniéj z małych wybielonych domków, jakby się przypominał rozległy obóz z nieprzejrzanemi rzędami namiotów.

Madziary są w ogóle przystojni; wzrostu zwykle nie wysokiego, ale bardzo kształtnie zbudowani, silni i zwinni. Kalectwo i ułomność rzadko się między nimi przytrafiają. Powszechnie są mocni bruneci: cera śniada, włosy czarne i takież oczy. Z charakteru otwarci, dobrzy i czuli, ale drażliwi i do gniewnych uniesień skłonni; z obyczajów szczodrzy i lubiący przy okazyi wystawność i przepych. Znaczna bardzo część węgierskiego narodu przeszła oddawna na kalwińską wiarę; pochodziło to głównie ze wstrętu ku Austryi, która zawsze bardzo niby gorliwie obstawała za katolicką religią, ale zrobiła sobie z téj religii pomoc i narzędzie do uciemiężenia podwładnych ludów, prześladując bez miłosierdzia różnowierców, co jest zupełnie przeciwne chrześcijańskiemu duchowi, a prawie zawsze bez skutku; bo im kogo bardziéj za wiarę prześla-

dują, tem on się jéj mocniéj trzyma. Tak też i wielu węgrów przez miłość narodowości swojéj i niechęć do Austryi kalwanizmu się trzymali i trzymają.

III.

Wieśniak węgierski wierny jest starym zwyczajom i obyczajom; ma swój kraj za najwyborniejszy i najdoskonalszy na świecie; pracowity bardzo nie jest, gdyż bujna urodzajność ziemi przy niewielkiéj ludności, uwalnia go od tych ciężkich wysileń, jakie gdzieindziéj muszą ludzie podejmować dla zaopatrzenia swych potrzeb. Stosuje się to zwłaszcza do kmieci osiadłych, mających w ogólności uposażenie od 15tu do 25ciu morgów, a w części kraju południowéj i najmniéj ludnéj przeszło po włóce. Pańszczyzna była w Węgrzech przed 1848 rokiem pospolicie po dwa dni piesze albo po jednym ciągłym; prócz tego wyrąbanie i zwiezienie pewnéj ilości drzewa opałowego dla dworu, a ze zbiorów dziewiąty snop dla pana, a dziesiąty dla proboszcza i daniny w drobiu i jajach. Zagrodnicy, mający tylko chałupę i ogród, odrabiali 18 dni pieszych rocznie, a zresztą obowiązani byli do najmu w czasie żniw. Ta część ludności bardzo mało mając, zmuszona też była do większéj pracowitości. W południowych Węgrzech, na tłustych ziemiach nad Dunajem i Cissą zagrodnicy głównie uprawiają tytuń w swoich ogrodach; w środkowej części kraju pracują po winnicach, które również dużo ręcznéj roboty potrzebują; zaś w północnych stronach, na pochyłości gór Karpackich trudnią się uprawą lnu i konopi. Tu już nie Madziary prawdziwe, ale Słowacy zamieszkują, z którymi Polak może się rozmówić. Żeńska ludność zagrodnicza zarobkuje tutaj z tkactwa. Bielenie płótna, wybijanie oleju z maku i innych roślin także zarobku dostarcza. Wreszcie dla zagrodników Słowaków z północnéj części Węgier najgłówniejszym zarobkiem są żniwa w południowych okolicach kraju. Wtedy to liczne kompanje bandosów schodzą z gór na rozległe równiny, gdzie urodzaje obfite a rąk mało, i najmują się do żniwa, do koszenia, do młócki. Wiadomo wam pewno, że ci górale i do naszego kraju na żniwa przychodzą.

Od dawnych czasów było w Węgrzech poddaństwo, które ustało lat temu 85, to jest w roku pańskim 1775, gdzie i tabelle prestacyjne zaprowadzono. Ale przytem zachowano dawny porządek, to jest że jeżeli włościanin czy też zagrodnik wypełniał swoje powinności, to pan nie miał prawa rugować go z osady, chyba aż za wyrokiem sądu komitackiego, (bo Węgry całe dzielą się na komitaty, co jest podobne do naszych powiatów.) W roku 1836 wyszło prawo o separacyi gruntów dworskich od gromadzkich i zaczęto urządzać osady.

Aż nareszcie na sejmie węgierskim który zasiadał w drugiéj połowie roku 1847 i aż do wiosny 1848 roku, szlachta węgierska ze swej własnéj dobréj woli, dla pożytku ogólnego, postanowiła znieść pańszczyznę i wszystkie powinności i odprzedać włościanom osady na własność. Naturalnie że włościanie nie mieliby czem zapłacić odrazu, więc też im ten skup osad rozłożyli na lata, żeby płacąc co rok po niewielkiéj części mógł się z czasem osadnik zupełnie wykupić. Cesarz austryacki zatwierdził te postanowienia w kwietniu roku 1848. Pańszczyzna natychmiast ustała, ale włościanie wdzięcznem sercem to przyjmując, w bardzo wielu miejscach, gdzie widzieli że panom ciężko na początek bez pańszczyzny pola dworskie obrabiać, więc sami dobrowolnie na robotę szli i najchętniéj się najmowali, tak, że w tym samym roku 1848 żniwa wszędzie po całym kraju bez najmniejszéj straty się odbyły i obie strony były kontente.

Każda wieś węgierska wybiera sobie co rok sołtysa i kilku starszych; obowiązkiem ich rozkład i zbieranie podatków, tudzież porządek i policya. Prócz tego wybiera się pisarz do prowadzenia rachunków i innych piśmiennych spraw gromadzkich.

O dyamentach.

II.

Wydobywanie i zbieranie dyamentów, szlifowanie w różne formy.

Dobywanie dyamentów wschodnich podług opisu p. Tawernier naocznego świadka, bywa następujące: w Raolkonda, w okolicy piaszczystéj i kamienistéj, w skałach tamtejszych, dyamenty znajdowane w żyłach ziemnych na cal do dwóch cali grubych, wygrzebywano za-

krzywionemi narzędziami żelaznemi, a następnie przez pławienie w wodzie oczyszczano.

W równinie Gari czyli Koulur, gdzie niegdyś do siedm tysięcy ludzi przy kopaniu dyamentów znajdowało zajęcie, zbieranie odbywano w następujący sposób: Obok miejsca w dyamenty zamożnego wyrównywano drugie, przyległe, które obwodzono murem na parę stóp wysokim, tu i owdzie mającym otwory pozatykane, służące do odpływu wody. Miejsce w dyamenty zamożne zgrzebywano tak długo, dopóki się wody nie dokopano (na 14 do 15 stóp.) Ziemię zrytą przenoszono do obmurowania i tam polewając ciągle wodą deptano, przyczem woda odpływająca przez otwory w murze odetkane, unosiła z sobą części lżejsze, cięższe zaś pozostawały. Wypławianie to tak długo powtarzano, dopóki same bryłki grubsze i piasek nie pozostały. Te na słońcu wysuszone i odsiane, rozpościerano na ziemi i pilnie przepatrywano, a dyamenty znalezione zbierano. Kopalnie te obecnie wyczerpane, dostarczały niegdyś najpiękniejszych dyamentów.

W rzece Goul w Bengalu, dyamenty nie znajdują się w żyłach lub bryłach ziemnych, ale w piasku z pędem wód unoszonym; z końcem miesiąca stycznia, kiedy po deszczach ulewnych woda już jest czystą zupełnie, zbierają się one po poprzedniem zatamowaniu biegu wody i odwróceniu koryta rzeki.

Lubo kopalnie dyamentów wschodnich tak są liczne, wiele jednak kamieni i to właśnie najpiękniejszych wcale do nas nie dochodzi. Indyanie nietylko przeszkadzają ile możności w ich zbieraniu, ale zamożniejsi utrzymują między sobą zwyczaj niszczący je i gubiący. Jeżeli bowiem do rąk jakiéj zamożnéj rodziny dostanie się dyament wielki i piękny, najznakomitszy z rodziny przewierca w nim otwór, po jego śmieci następca robi toż samo, potem trzeci, czwarty i t. d. Im więcéj kamień ma podobnych przewierceń, tem większą dla rodziny wartość posiada, a jeżeli przypadkiem przewidują upadek domu i zagładę rodziny, wtedy dyament taki zakopują w ziemię, aby go nikt nie mógł znaleźć, Dawniéj w kopalniach wschodnio-indyjskich zbieranie dyamentów było każdemu dozwolonem, za złożeniem tylko pewnéj opłaty; obecnie pozostaje w ręku rządu.

W Ameryce, w Brazylii. dyamenty znajdują się w skale łupkowéj, podobnéj do piaskowca, (złożonéj z kwarcu drobno ziarnistego i miki), która się nazywa itakolumitem. Skała ta odłupana w cienkiéj warstewce daje się giąć wyraźnie; dyamenty znajdują się w niéj wrosłe w postaci ziarn i w kryształkach małych pokrytych jakby jaką łupinką. W Brazylii odkryto dyamenty w r. 1728, w dwa lata póżniéj już Portugalczycy wyprowadzili z miasta Rio-Janejro do Europy do 1000 uncyi (1) dyamentów; przez co w Europie nagle spadły w cenie. To zmusiło rząd do ograniczenia ilości dyamentów mających być zbieranemi.

Dyamenty brazylijskie znajdują się najwięcéj w górach, w Minas-Geraes, w dystrykcie Cujaba, Guara, Puara, Serro do Frio, w Villaricca, w korytach rzek pomiędzy któremi najbogatszą w świecie jest Gigotohonha. Tutaj zbierają dyamenty podobnie jak w Indyach, albo przez odwrócenie koryta i spławienie, albo przez rozbijanie brył i płukanie. Wodę puszczają na płuczki drewniane; niewolnicy ponad korytem stojący, pod ścisłym dozorem odłączają od części ziemnych wszelkie kamyczki, a znaleziony dyament ująwszy w palce w górę podnoszą i oddają w ręce nadzorcy, zwanego intendentem, który odebrany dyament wrzuca w naczynie na oczach wszystkich stojące. Niewolnik, który znajdzie szczęśliwym trafem dyament ważący pół ośmnasta karata, ubrany w nową odzież, uroczyście wolność odzyskuje. Dyamenty zebrane przechodzą do skarbu państwa, gdzie troskliwie zważone i zapisane, następnie w handel puszczanemi bywają. Dawniéj wywożono rocznie do 60 tysięcy karatów, co przynosiło rządowi dochodu około miliona talarów; lubo w obliczenie tu nie wchodzą dyamenty przemycane i ukradkiem wyprowadzane, których wartość rocznie do 300,000 talarów może być cenioną. Od czasu otwarcia kopalń w Brazylii ilość wszystkich dyamentów, w przeciągu 100 lat niespełna zebranych, wynosiła 1400 funtów, których wartość dochodzi do 150 milionów złotych polskich.

W górach Uralskich znajdują się także piękne dyamenty, lubo tej już nie mają wartości

---

(1) Uncya równą się dwom łutom.

jak wschodnio-indyjskie i amerykańskie;— w r. 1829 po raz pierwszy tutaj je znaleziono.

Dyament świeżo wydobyty, czyli jak nazywają surowy, albo naturalny, na powierzchni pospolicie nie ma żadnego połysku, ale łupinką czyli skorupką szarą jest powleczony, która w dyamentach z koryta rzek wydobywanych mniéj więcéj bywa startą, jak to już wyżéj wspomnieliśmy. Dyament taki nie jest jeszcze bardzo pięknym; poprzednio musi być szlifowanym.

Sztuka szlifowania dyamentów wynaleziona została w r. 1456 przez holendra z Brügge nazwiskiem Ludwik von Berguen. On pierwszy dyamenty zaczął szlifować, pocierając jeden o drugi; póżniéj wynalazł umyślne do tego koło i szlifiernią założył; od tego dopiero czasu dyamenty weszły w modę. Wkrótce po tem odkryciu, zaczęto dyamenty szlifować ich własnym proszkiem, najprzód w Brügge i Amszterdamie, póżniéj w Wiedniu, Paryżu, Lizbonie, Petersburgu i t. d.

Robotę szlifowania rozpoczynać zwykło zdejmowanie szaréj skorupki, którą dyament surowy zwykle bywa powleczonym; działanie to nosi nazwę *odskorupiania*. W tym celu dwa dyamenty osadzone na kicie z cegły i żywicy, na końcach dwóch rączek drewnianych zbliżone do siebie, trą tak długo, dopóki kamień nie tylko się nie oczyści, ale nawet dopóki przyszłego kształtu przynajmniéj z grubsza nie nabędzie; przytem uważać trzeba na budowę i układ blaszek dyament składających. Część ta roboty nazywa się *rznięciem* czyli *obrabianiem*, i w niéj jeden i ten sam kamień, kilkoma innemi niekiedy pocierać się musi.

Opadający przytem proszek drobny biało szary, uchodzący pod nazwą *proszku dyamentowego*, zbiera się starannie i używa do szlifowania dyamentów. Proszek taki otrzymuje się też i przez tłuczenie dyamentów najgorszych, skazistych, plamistych, sękowatych, w moździerzykach stalowych z takiemiż tłuczkami.

Po obrobieniu, dyament osadzony na lucie (2) z cyny i ołowiu, szlifuje się na krążku żelaznym lub stalowym, jak najlepiéj wygładzonym, który się zwilża oliwą i posypuje proszkiem dyamentowym. Za każdem wytarciem proszku na nowo się napuszcza, po odszlifowaniu jednéj ścianki nastawia się drugą, trzecią, czwartą, aż do oszlifowania całego kamienia; ale po zeszlifowaniu jednego rzędu ścianek, kamień za roztopieniem lutu na nowo się osadza w stosownem położeniu, co wyrażają technicznie, *że kamień bieg odmienił*. Jeżeli po odbytem szlifowaniu kamień pokazuje jeszcze jakieś skazy, to już ręką wodzony po krążku tu i owdzie wygładzi się do reszty.

W ogólności prawie każdy dyament przy szlifowaniu traci połowę swéj wagi; jeżelibyśmy jednakże mając dyament surowy chcieli się dokładnie dowiedzieć, ile też przez szlifowanie na wielkości i wadze utraci, wtenczas należy w glinie wygnieść jego wielkość i wydrążenie to wypełnić roztopionym ołowiem; po stężeniu otrzymujemy odlaną wielkość kamienia, mającego być szlifowanym. Bryłka ta nożykiem obrobiona w kształt dyamentu żądanego, przedstawi model przyszłéj wielkości dyamentu, a ciężkość kamienia będzie równą trzeciéj części wagi modelu.

Jeżeli dyamenty są nierówne, skaziste, wtenczas się przedzielają na części za pomocą dłutka i młoteczka, rozłupując w kierunku blaszek kamień składających, co się nazywa łupaniem. Przecięcie nie w kierunku blaszek, lecz w innym jest nierównie trudniejsze i mozolniejsze; rzadko się też używa.

Ścianki dyamentu szlifowanego nazywają się *fasetkami*; podług układu tych fasetek, dyament wyszlifowany różne nazwy przybiera, i tak:

Tafelsztyn z niemieckiego *Tafelstein*, dyament płaski, tabliczkowaty, ma tylko dwie płaszczyzny: górną i dolną, otoczone szeregiem fasetek. Takie kamienie mają część osadzoną w pierścieniu, szpilce i t. d. równą wystającéj, ale promieni światła bardzo nie mogą odbijać i załamywać, dla tego też od innych mniéj są cenionemi.

Rauty, *róże*, *rozety* w połowie XVI wieku wprowadzone, są to dyamenty szlifowane w graniastosłup, którego boki są otoczone ściankami, podstawą zaś jest część płaska, obszerna, w osadzie zamknięta; zwykle ścianek bywa 24 to jest 18 w rzędzie dolnym, a 6 w górnym. Drobniuchne kamyczki w różę szlifowane, któ-

(2) Lutem nazywamy massę lutującą czyli przytwierdzającą inne rzeczy, jak tutaj dyament.

rych 100 do 150 idzie na karat (3) dla mozolnéj roboty koło ich obrobienia są dość kosztowne i używają się najczęściéj do obsadzenia innych drogich kamieni.

Dyksztyny (Dickstejne), tworzą ostrosłup czworościenny, pojedynczy, z wierzchołkiem mocno ściętym, czyli połowę brylantu lecz bez ścianek. Ponieważ od płaskich i rozetek są daleko wyższe, ztąd nazwisko *grubych* otrzymały. Obecnie jako nie mające pięknego ognia rzadko używane, lubo widzieć je można w starożytnych klejnotach, relikwiarzach, jak np. w skarbcach katedry krakowskiéj, Częstochowskim i t. d.

Brylanty, są to dwie piramidy czworościenne, podstawami stykające się z sobą i wierzchołek górny mocno, dolny słabo ścięty mające; każda ściana brylantu ma kilka rzędów fasetek, najczęściéj w górnéj połowie bywa ich 33, a w dolnéj 25; im więcéj ścianek, tem brylant ma blask mocniejszy i większą wartość posiada. Sposób ten szlifowania odkryty w XVII wieku, dziś najwięcéj jest używanym; nie wszystkie jednak dyamenty dadzą się w ten sposób szlifować.

Wpół brylanty, są to kamienie od spodu płaskie, od góry zaś w płaszczyznę i ścianki szlifowane; obecnie przerabiane bywają z róż i płaskich dyamentów; od spodu pospolicie podlepione topazem, kryształem lub innym kamieniem mniéj kosztownym, na mastyksie osadzonym; często za prawdziwe brylanty uchodzą i sprzedają się.

Brylanty bywają niekiedy czworograniaste, podłużne, jajkowate, gruszkowate lub sercowate. Ostatnie zwłaszcza na zausznice czyli wisiorki zwykły się używać; dawniéj koniec ich cieńszy igłą stalową, proszkiem dyamentowym napuszczaną przewiercano i nawlekłszy na drucik noszono; ale ponieważ w ten sposób łatwo mogą się przerwać i zginąć, obecnie osadzają je w złoto przezroczysto czyli jak nazywają *à jour*.

Oprócz opisanych form, bywają niekiedy i inne, zwłaszcza w dyamentach szlifowanych przez Indyan, którzy szczególniéj na to zwracają uwagę, żeby kamień był jak najgrubszy, a tem samem jak najcięższy, mniéj dbając na postać i proporcyą ścianek.

(Dokończenie nastąpi.)

---

(3) Nazwisko *karat* przyjęte do oznaczenia wagi dyamentu, oraz wagi i próby złota, pochodzi od nazwiska rośliny rosnącéj w Azyi, Afryce i Ameryce zwanéj *Kuara*, (Erythoryna corallodendrum); czerwone nasionka téj rośliny do ziarn bobu z postaci podobne, po wysuszeniu ważą jednostajnie około 4ch gran albo jeden karat; gran zaś równa się prawie wadze ziarnka pszenicy. Łut, waga powszechnie znajoma, zawiera 60 karatów, 240 gran.

WINCENTY KROT

włościanin litewski z nad brzegów Hrywdy.

(Dokończenie)

—

Gdy Wincenty z téj wyprawy wrócił szczęśliwie do Ateczyzny, rzecz więc bardzo naturalna, że napełnił wielką radością obojga państwa Siekluckich, którzy w uniesieniu swojem nad jego cnotą i sprawnością podarowali mu owe 12 dukatów oszczędzone od wyprawy ich córki. Sam zaś p. Sieklucki, jako wielki lubownik koni, szczególniéj z tego był zadowolony, że nawet stępaka przeznaczonego do téj podróży w całości i zdrowego Krot odprowadził. A że właśnie potrzebował do stajni swojéj stangreta i wielkie do tego przymioty upatrywał w poczciwym Wincentym, nieomieszkał go tedy do téj służby u siebie zawerbować, co się stało ze wzajemnem stron obu zadowoleniem, bo Wincenty w tym rodzaju służby najwięcéj smakował i ujęty był niezmiernie względami dla niego nowych państwa którzy też wkrótce z nim wyjechali do Iwacewicz, nietylko dla objęcia tam rządów i uwolnienia od nich sędziwego już księdza Głuchowskiego, ale też żeby być bliżéj córki, zamieszkałéj o kilka mil ztamtąd, w majątku męża swego Dobromyślu.

Działo się to ku końcowi roku 1794, w którym jak wiadomo klęski publiczne kraju coraz bardziéj zwiększały się, a i na miejscowych nie zbywało. Iwacewicze w tymże roku dotknięte zostały upadkiem bydła, który najbardziéj dał się uczuć wsi Stajkom, gdzie jak wiemy rodzina naszego Krota przemieszkiwała. Już tam wszyscy trzéj bracia jego byli pożenieni i dwóch oddzieliło się na osobną sadzibę gospodarską, a jeden pozostał przy krzepkim jeszcze ojcu; ale przez upadek wołów roboczych

przyszli byli do krytycznego położenia. Wincenty zatem widząc ile kłopotu i kosztu ponosić musieli państwo Siekluccy w kompletowaniu dobytku po wsiach iwacewickich, a mając z ich łaski spomnione 12 dukatów, całą tę kwotę ofiarował ojcu i braciom swoim, przez co ich bardzo zapomógł, dając godny naśladowania przykład miłości swojéj ku rodzeństwu.

Przeszło lat kilka niepomyślnéj państwa Sieklnckich gospodarki w Iwacewiczach, tak z powodu klęsk publicznych jako i prywatnych, w których Wincenty wierny swoim obowiązkom pielęgnował powierzone mu konie jak najlepiéj, tak, że poniekąd stajnia wynagradzała panu Sieklnckiemu znaczne straty w oborze. Były to bowiem czasy, kiedy obywatele litewscy więcéj mieli upodobania w hodowaniu koni, niżeli teraz. W samym Słonimskim powiecie, liczyło się kilka znakomitszych stadnin, z których niekiedy cugami sprzedawano konie na Zelwiańskich jarmarkach. Trwała też jeszcze moda, choć na pozór zbytkowna, ale stosowna do ówczesnego stanu dróg w kraju, że poważne panie litewskie, do których rzędu należała i pani skarbnikowa Sieklucka, inaczéj prawie nie jeździły jak cugiem sześciokonnym, zwłaszcza gdy szło o odbycie dalszéj podróży. Ztąd też i funkcya dobrego stangreta na którego sile i przytomności polega głównie bezpieczeństwo jadących osób i całego zaprzęgu, miała właściwe sobie poważanie, na które tem słuszniéj Wincenty zasługiwał, że był zawsze trzeźwy i pilny, i w podróżach z panią swoją odbywanych, nigdy ją na żaden szwank nie naraził. Miała zwyczaj pani Sieklucka, że wyręczając męża w interesach, jeździła prawie co rok na kontrakta święto-jańskie do Brześcia litewskiego i po drodze odwiedzała dwie najlepsze swoje przyjaciółki, to jest siostrę rodzoną p. Laskowskę w Strychowie i panię strażnikowę z Zadarnowskich Mierzejewskę w Brzozowcu pod Brześciem. Ta podróż tam i napowrót wynosiła mil kilkadziesiąt i zabierała jéj najmniéj miesiąc czasu, do któréj Wincenty sposobił się zwykle jakby na popis ze swego fachu, bo miał i tę cnotę właściwą szczególniéj dawnym naszym sługom, że nietylko dbał o osobistą swoją zaletę, ale i o honor samychże państwa, którym z serca służył. Jak zaś to serce jego było pełne miłości ku bliźnim i skore do różnych dla nich ofiar, chociażby z własną szkodą, nie odrzeczy będzie przytoczyć za dowód następne wydarzenie.

We dworze Iwacewickim był poczciwy ogrodnik, niejaki Onisko, z którym Wincenty żył w ściśléj przyjaźni. Ten Onisko powziął był zamiar żenić się z pokojówką swéj pani Maryanną Bożydajówną, którą właśnie pani Sieklucka ze względu na większe zasługi Wincentego, wolała była wydać za niego, zwłaszcza że i rodzice téj dziewczyny byli raczéj za nim. Marysia jednak nie w ciemię bita, wolała iść za ogrodnika, jako młodszego i więcéj miejscowego sługę, co gdy Wincenty wyrozumiał, przyczynił się własną prośbą do pani i rodziców jéj, aby tego małżeństwa przyjacielowi jego nie bronili, i co większa, kupił dla tego stadła na pierwsze gospodarstwo krowę; sam zaś odtąd zupełnie zaniechał myśli żenienia się kiedykolwiek. Gdy w kolei czasów i wypadków nadszedł pamiętny rok 1812, w którym jak wiadomo wojska całéj niemal Europy kraj nasz w przechodzie do Rossyi plądrowały, a szczególniéj dopuszczały się po dworach obywatelskich zaboru lepszych koni, każdy naturalnie jak mógł chronił się od takiéj straty; a że państwo Siekluccy słynęli z dobrych koni, tak dalece, że jenerał austryacki Szwarcemberg, snać przez usłużnych faktorów zawiadomiony, miał to sobie zanotowanem na mappie swojéj pochodowéj przy Iwacewiczach, unikając więc styczności z takiemi rabusiami wyjechali do zięcia swego w spokojniejsze ustronie, a ochronę tak majątku jak i pozostałéj w nim stadniny zdali na komisarza swego p. Kazimierza Kulenia, który już od lat kilkunastu spełniał u nich ten obowiązek, oraz na doznaną poczciwość Wincentego Krota, którego umyślnie przy nim zostawili.

Ów p. Kuleń był to sobie wzór staroświeckiego komisarza, który nie umiał po dzisiejszemu rozprawiać o agronomii, a nawet może i o nazwisku téj nauki nigdy nie słyszał, ale jednak umiał ją szczęśliwie praktykować i przymnażać swoim państwu intraty, a to przez starania swe o dobry byt włościan, mnogość i dobre utrzymanie żywego inwentarza, oraz wczesną a porządną uprawę roli. To też go zalecało, że pochodził ze szkoły, czyli raczéj kancellaryi uczonego dziejopisa naszego księdza biskupa Naruszewicza, do którego zgonu, to

jest aż do r. 1796, zostawał w Janowie na Podlasiu. Tam przez częste spełnianie różnych poleceń ekonomicznych obeznał się z trybem całéj gospodarki, nabył biegłości w rachunkach i nauczył się czysto pisać po polsku. Bywało też, rozpowiadał różne szczegóły o tym sławnym z nauki biskupie, a między innemi i to, że po upadku kraju mieszkając ciągle w Janowie, zajmował się jakoby wyłącznie pisaniem dziejów ostatnich Polski za Stanisława Augusta; a chociaż téj pracy jego dotąd nie znamy, być może jednak, że się kiedyś i gdzieś odkryje. Otóż p. Kuleń mając zostawionego sobie do pomocy stangreta Wincentego, potrafił w to wśród ciągłych niepokojów od owych wojsk sprzymierzonych, że wszystkie co lepsze konie zostały gdzieś szczęśliwie przechowane i ocalone. Wynikł wszakże z tego jeden smutny wypadek, gdyż poczciwy Wincenty uprowadzając je nocą do bezpiecznego w lesie ukrycia, spadł był fatalnie z konia i złamał sobie nogę; ale szczęściem niedługo cierpiał, bo mieszkający w sąsiedniem miasteczku Kossowie lekarz p. Roser nastawił mu ją na skorym razie tak dobrze, że w prędkim czasie do zupełnego zdrowia przywrócił. Gdy się zaś wszystko w kraju uspokoiło, Wincenty tak samo jak i pierwéj pełnił swoje obowiązki aż do r. 1828, w którym p. Sieklucki we trzy lata po zgonie zacnéj swéj żony życia dokonał. Po zejściu obojga rodziców, pani Jundziłłowa, jako jedyna ich sukcessorka, uznała za sumienny obowiązek, nadając wolność osobistą wszystkim zasłużonym ich sługom, obdarować nią najpierwéj poczciwego Wincentego z pensyą dożywotnią. Ale on téj swobody nie użył bynajmniéj na to, aby resztę życia swego gdzieindziéj miał przepędzać, choć był jeszcze dosyć zdrów i silny i do kilku sąsiednich domów na służbę wabiony. Wolał więc z przywiązania do miejsca rodzinnego i do osób z nim zażyłych, a tembardziéj takich, których uważał za swych dobrodziejów, pozostać na zawsze we dworze Iwacewickim i podług sił swoich pracować; a chociaż przeżył wszystkich swoich starszych państwa, jeszcze i młodemu ich pokoleniu wiernie i poczciwie służył i z ręki swojéj zostawił kilku wyuczonych dobrze powozicieli. Starość jego była rzec można błogosławiona, bo nie połączona z żadnemi bolesnemi cierpieniami i dawała poznać chwalebny bieg całego żywota; na kilka tylko lat przed zgonem w niektórych porach roku doznawał zapalenia oczu i ztąd słabnąć począł na wzroku. Doszedłszy zaś do lat 86 życia w r. 1848 dnia 6 listopada po kilkodniowéj obłóżnéj słabości, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, jako prawy katolik, rozstał się z tym światem w Iwacewiczach; żałowany szczerze od całego tamecznego dworu, któremu wciąż przyświecał dobrym swoim przykładem i od wielu krewnych, których ciągłym był opiekunem.

Tacy to więc ludzie bywali pomiędzy poczciwym ludem litewskim, a daj Boże, aby ich zawsze było jak najwięcéj!

Różności.

Ksiądz Wojciech Rożniewski, proboszcz w Bogdanowie, w Dekanacie Piotrokwskim, założył szkołę dla swoich parafjan. Organista jest w niéj nauczycielem, a żona organisty ochmistrzynią dziewcząt. Z początku szło oporem księdzu Rożniewskiemu; trzeba było walczyć z różnemi przeszkodami, a zwłaszcza z niechęcią rodziców i nieokrzesaniem dzieci; ale gorliwość kapłańska wszystkiemu poradziła. Opuszczona wikaryjka, podreperowana trochę, została obrócona na dom szkolny; jeden z zacnych obywateli dostarczył elementarzy, tablic do pisania i innych potrzebnych rzeczy; gorące kazania oświeciły rodziców o potrzebie posyłania dzieci do szkoły, a słodkie obchodzenie się proboszcza z dziećmi przyciągnęło ich do szkolnéj ławy i do nauki. Dziś zacny proboszcz ma już w swojéj szkole sto piętnaście dzieci! Niech mu Bóg błogosławi!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 27 sierpnia (8 września) 1861 roku.